

# „Prorok” z Berlina

## Powodzenie i koniec czarodzieja Weissenberga

Część mieszkańców Berlina po-  
grążona jest w rozpacz i żalobie.  
Przed gmachem berlińskiego wie-  
nienia Moabit gromadzą się tłumy  
mężczyzn i kobiet, oczekujących  
wyroku na ich „boskiego mi-  
stra” Weissenberga. Po chwili  
rozchodzi się wieść, że Weissen-  
berg skazany został na półtora ro-  
ku więzienia.

Któż to jest p. Weissenberg,  
którego uwięzienie wywołuje taką  
sensację w Berlinie? Jest to  
człowiek, który zrobił dość fanta-  
styczną karierę, tworząc na tere-  
nie Rzeszy a zwłaszcza na terenie  
Berlina sektę religijną, coś w ro-  
dzaju tak rozlicznych sekt ame-  
rykańskich. Działał tak sprytnie i  
tak się umiał zabrać do rzeczy,  
że uzyskał bardzo licznych zwol-  
enników, a jego wspaniała rezy-  
dencja stała się prosto celem  
pielgrzymek dla wyznawców.

P. Weissenberg bawił się rów-  
nież i w reorganizację istnieją-  
cych urzędów społecznych, propa-  
gując zaprowadzenie nowego  
porządku na świecie. Wydał po-  
nadto pismo, które rozchodziło się  
w stu tysiącach egzemplarzy, a  
na łamach jego oczyma, z za-  
mieszczając artykuły, które propa-  
gowały jego zasady. Znalazło się  
wiele wielu zaślepionych fanaty-  
ków, którzy poczytywali słowa je-  
go za objawienie.

**WŁADCA CIAŁA I ZMYŚŁÓW**

Jeszcze przed wbuchem wojny  
światowej weszła w Niemczech  
gwiazda „proroka” Weissenber-  
ga. W pierwszych latach swojej  
praktyki trudnił się znachorstwem  
i był jednym z tych licznych  
oszustów, którzy pod pozorem  
znajomości jakichś tajem-  
nych leków, wyprawiają tych,  
którzy im zaufają, na tamten świat.

Jednakże znachorstwo, nie było  
zbyt opłacalne, gdyż Weissen-  
berg postanowił rozszerzyć za-  
kres swojej działalności i oznaj-  
mił, że miewa cudowne widzenia.  
Ponieważ zarówno kościół ewan-  
gelicki jak i katolicki nieprzy-  
chylnie odnosiły się do jego oszu-  
dzać nabożeństwa w swoim wia-  
snym domu.

Oczywiście, że znaleźli się wier-  
ni, a właściwie raczej wierne, które  
licznie przybywały w owe u-  
stalone dni, kiedy „prorok” Wei-  
senberg miewał wizje i padały  
twarzą do podłogi, słuchając je-  
go „proroczych” słów, a szcze-  
śliwie byli, gdy mogli dotknąć  
się jego szat. Co właściwie Wei-  
senberg przepowiadał w swoich  
„proroctwach” — niewiadomo.

Dość, że była to masa tajemni-  
czych i oszałamiających słów, które  
imponowały ciemnym ludziom.  
Było jeszcze coś innego, co  
sprzyjało pomyślnemu rozwojowi  
interesów „proroka”, a mianowicie  
występował także, jako lekarz-  
cudotwórca. Leczył przeważnie  
dzieci, chociaż nie brakło wśród  
jego pacjentów i ludzi dorosłych  
i wykształconych i należących do  
sfer towarzyskich. Leczenie odby-  
wało się w ten sposób, że Wei-  
senberg rozkazywał położyć pa-  
cjenta na stole, na miejsce chore  
kładał jakąś glinianą czarkę, o której  
twierdził, że jest „uświęcona

przez Boga”, a następnie przed  
oczyma chorego wykonywał usy-  
piające ruchy dłoni. Była to po-  
 prostu najwzajemniejsza suges-  
cja. Ilekroć razy choroba sama  
przez się przeszła, oczywiście po-  
czytywano to za cud. Jeśli chory  
umierał, „prorok” oznajmiał, że  
taki był wyrok z nieba.

**WYPEDZANIE DJABŁA**

Specjalnością zaś szczególną  
Weissenberga było wypędzanie  
djabła. Wypędzał djabła we wszy-  
stkich możliwych okolicznościach,  
wszystkie bowiem zjawiska, jak:  
choroba, niepowodzenie, objawy

chorób nerwowych, podciągał pod  
złośliwe djabełskie psoty. Upo-  
szony przez wiernych zabierał się  
wtedy do zwalczania syna piekiel  
przez wygłaszanie szeregu cytów,  
których przeważnie nikt nie ro-  
zumiał. Dość powiedzieć, że te  
wszystkie hokusy pokusy miały  
duże powodzenie i że płacono mu  
za to nieźle, tak, że dorobił się  
poważnego majątku. Dość wspom-  
nieć, że miał własną willę-pała-  
cyk, a pozatem był właścicielem  
czynszowej kamienicy w Berlinie.  
W wolnych od innych zajęć chwila-  
ch, zajmował się przenikaniem  
przyszłości, a dopomagały mu w  
tem jakoby skwapliwie wywołane  
przez niego duchy wielkich ludzi.  
Napoleon, Bismarck czy też Fry-  
deryk Wielki chętnie i ujrzejmie  
zjawiali się na seansach — jak  
twierdził Weissenberg — i oczy-  
wiście wygłaszali to, co chciał po-  
wiedzieć „prorok”.

**Żołądek wielkiego transatlantyku**  
**W spiżarni M. S. Piłsudski**

Polskie statki słyną szeroko z  
wyborowej kuchni, a sławę tę po-  
większa i rozpowszechnia każdy  
pasażer po odbyciu pod polską  
banderą podróży lub wycieczki  
morskiej. Poziom sztuki kulinar-  
nej na statku nie jest bynajmniej  
rzeczą drobną lub nieważną. Pod  
czas podróży morskiej, gdy orze-  
żwiającej powietrze zaostroza apetyt,  
przyjemność spożywania do-  
brze przyrządzonych potraw od-  
czuwa się stokrotnie silniej, niż  
na lądzie. Poza to ilość i jakość  
posiłków wpływa na zdrowie i  
samopoczucie pasażera, nie za-  
tem dziwnego, że pieczę nad kuch-  
nią powierza się na naszych stat-  
kach wybitnym fachowcom w  
dziedzinie kulinarnej.

Byłoby bezcelowem zachwala-  
nie znanej ze swych zalet pol-  
skiej kuchni, warto natomiast za-  
poznać się ze składem spiżarni  
na naszym nowym statku transat-  
lantycznym „Piłsudski”. Trudno,  
naturalnie, z zupełną dokładno-  
ścią obliczyć dzienny rozchód ar-  
tykułów spożywczych na statku,  
gdyż zarówno ilość pasażerów  
jak i apetyty bywają różne w cza-  
sie każdej podróży. Ale spiżarnia

statku musi być hojnie zaopa-  
trzona na wszelki wypadek. Naj-  
bliższa, inauguracyjna podróż  
M/S „Piłsudski” przedstawia się  
w świetle cyfr, ilustrujących za-  
potrzebowanie dzienne artyku-  
łów spożywczych — zgoła sensa-  
cyjnie.

M/S „Piłsudski” zużyje w cza-  
sie pierwszej podróży 9000 kg.  
mięsa, 1400 kg. wędlin, 6000  
sztuk drobiu oraz 70000 sztuk  
jaj. Oprócz tego pasażerowie M/S  
„Piłsudski” pożywić się będą  
w czasie oglądania pięknych wido-  
ków morskich kompotami w ilo-  
ści 7000 kg. a owoców zjedzą  
6000 kg. Serów, śmietanki, śmie-  
tany wyjdzie w czasie podróży  
1000 kg., mleka skondensowanego  
1000 puszek, cukru 3000 kg., ka-  
wy i herbaty 400 kg., a samej soli  
i przypraw 600 kg.

Na zakończenie należy dodać,  
że do sporządzonych smacznie po-  
trać wypije się 2600 butelek win  
i wódek, 800 beczek piwa i 3000  
butelek lemoniady, a wypali się  
przy tem 140.000 papierosów.  
Jakże blade wydają się wobec  
tych cyfr proporcje legendarnego  
Gargantui!

**21 żubrów**  
**posiada Polska**

Hodowla żubrów w parku Na-  
rodowym w Białowieży rozwija  
się nadal pomyślnie. W marcu r.b.  
przybyło do zwierzyńca białowie-  
skiego dwie sztuki czystej krwi  
pochodzenia białowieckiego, spro-  
wadzone ze Szwecji w drodze wymi-  
any. Znajduje się między nimi  
3-letni „Bjornson”, ostatni ży-  
jący stadnik z linii białowieckiej.  
W ten sposób zostały zebrane w  
Białowieży wszystkie żyjące jesz-  
cze żubry pochodzenia białowie-  
skiego w ilości 4 sztuk.

Ponieważ stado pszczyński  
wywodzi się również z Białowie-  
ży, więc Polska zajęła pod tym  
względem stanowisko wyjątkowe  
i wyjątkowe.

To samo dotyczy zresztą ogól-  
nej ilości żubrów czystej krwi,  
których Polska posiada 21, znaj-  
dując się w ten sposób na czele  
wszystkich krajów. Ogółem bo-  
wiem żyje na świecie

Wraz z żubro-bizonami znajdu-  
je się obecnie w Białowieży 17  
sztuk.

godę, wracała pieszo do swego mieszkania, ulegając tak  
właściwej Anglikom dbałości o higienę życia codzien-  
nego. Kuchnia w łazience zastępowała kuchnię. And-  
rey spożywała skromny posiłek, złożony z jaj, zinnego  
mięsa i owoców. Myła talerze i miała nareszcie spokój  
po całodziennym pracy z uczniami. Kominiek, gramofon  
(ostatni dar ojca) i książki. Zapalała papierosa, jedyny  
zbytek, na który sobie pozwalała i przy dźwiękach fox-  
trotta, walcu lub tanga czytała powieści — teraz zaczy-  
nała żyć.

Książki wypożyczała u pani Turpin, autorki „Gram-  
tyki dla wszystkich”.

Pani Turpin, po śmierci męża, który był profesorem  
liceum w Calais, prowadziła czytelnie. Andrey poznała  
panią Turpin w Boulogne, gdzie bawiła z chorym ojcem  
w 1929 roku. Pan Perry Greenwood chory i zrujnowa-  
ny, zmarł nagle na serce.

Pani Turpin, osoba okazałych kształtów, wylana  
i uczuciowa, zaopiekowała się serdecznie biedną, młodą  
Angielką, która cios swój zniosła tak dzielnie. Zanim  
nadeszły pieniądze do rodziny z Manchesteru, pani Tur-  
pin zajęła się pogrzebem. otoczyła Andrey troskliwą  
opieką i wreszcie znalazła jej posadę na pensji p.  
Tramon.

Tak się właśnie złożyło, że panny Tramon chciały  
się pozbyć nauczycielki angielskiego pani Blake, która  
zbyt często zaglądała do kieliszka i drzemala w czasie  
lekcji, nie budząc się nawet na odgłos dzwonka. Potrze-  
bowaly również opiekunki klasy, gdyż poprzednia ucie-  
kla z profesorem gimnastyki.

— Panna Greenwood jest perfekcją — oświadczyła  
pani Turpin pannom Tramon, wychodząc w następną  
niedzielę z kościoła. Obie były jednakowo ubrane we fio-

letowe suknie i rezedowe kapelusze.

— Panna Greenwood jest wykształcona, jest, nieste-  
ty, uboga...

— Ubóstwo nie jest występkiem — przerwała wzru-  
szona panna Tramon, wycierając okulary. — Ponieważ  
jest uboga — mówiła dalej pani Turpin — będzie chę-  
tnie łączyła obowiązki nauczycielki i opiekunki klasy.

— Tego u nas jeszcze nie było — odezwała się star-  
sza panna Tramon, z natury bojaźliwa.

— Byłaby to wielka oszczędność — zawyrokowała  
młodsza siostra — ale kto to jest ta panna Greenwood?  
Kim był jej ojciec?

— Ojciec jej pochodził z Dublinu. Ostatnio mieszka-  
li w Manchester. Niendane operacje handlowe w bran-  
ży sukiennej zrujnowały go zupełnie. Panie wiedzą, że  
Manchester...

— Tak, tak. Wielkie przemysłowe miasto. Z 455.000  
mieszkańców — wyrecytowała starsza panna Tramon.

— A czy matka jej żyje?

— Matka dawno umarła. Pochodziła z dobrej ir-  
landzkiej rodziny. Panna Greenwood ma 24 lata. Mile  
ulożona, bardzo dystygnowana i... — tu pani Turpin  
zawahała się chwilę — ...i bardzo ładna.

Siostry spojrzaly pytająco na siebie. Pani Turpin  
czempredzej sprostowała swoje zdanie.

— Jest to uroda przyzwoita, surowa. Panna Green-  
wood ma duże, myślące oczy, złociste włosy nieco falu-  
jące, ale można je gładko zaczesać. Wogóle jest to mło-  
da osoba, pełna godności, bardzo poważna, trochę zim-  
na. Nigdy nie widziałam jej śmiejącej się, nawet przed  
tem nieszczęściem. Obawiam się tylko, czy nie jest za  
smutna.

(C. d. n.).

**Tragedja w Schaffardon**  
**Zamordowała syna i matkę pod wpływem ataku szalu**

Schaffardon jest niewielką wio-  
ską w pobliżu słynnego kąpielis-  
ka Aix - les - Bains. W wiosce  
tej, w ładniutej willi zamieszki-  
wał p. Bertin, inwalida wojenny,  
który podeszał sezon w kąpielis-  
ku prowadził sklep z drobiazga-  
mi galanterijnymi. Jego żona  
Denise 36-letnia kobieta, była nau-  
czycielką w miejscowej szkółce.  
Matkęństwo było bardzo szczęśli-  
wie, wraz z trójkiem dzieci —  
dwoma córeczkami i 15-letnim  
synem Rajmundem. Oprócz tego  
w willi mieszkała matka p. Ber-  
tin, starszuszka 75-letnia.

Dni płynęły pogodnie i spokoj-  
nie.

Aż wreszcie, przed paru dniami  
willa państwa Bertin stała się  
widownią strasznej tragedji, a  
mianowicie wieczorem pani Ber-  
tin ubrała się w wieczorową suk-  
nię i oświadczyła, że udaje się do  
Aix - les - Bains. Zamiast jednak  
zejść nadół, udała się do pokoju

swojego syna, a domownicy u-  
słyszeli okropny krzyk dziecka  
oraz krzyk starszej pani Bertin.  
Kiedy zdążyli wpaść na górę, o-  
czom ich przedstawili się okrop-  
ny widok. 15-letni Rajmund le-  
żał w łóżku z czaszką roztrzaska-  
ną uderzeniem wielkiego, żelaz-  
nego pogrzebacza, który trzymała  
w dłoni, nieprzytomnie spogląda-  
jąca Denise Bertin. W sąsiednim  
pokoju leżały zwłoki starszej pa-  
ni Bertin, która również poniosła  
śmierć od uderzenia zadanego po-  
grzebaczem w skroń.

Denise Bertin spojrzala po o-  
becnych nieprzytomnie, a następ-  
nie unosząc tren czerwonej suk-  
ienki, zaczęła schodzić po scho-  
dach nadół. Przerażony mąż za-  
biegł jej drogę, zapytując:

— Dokąd idziesz, Denise?

— Idę na spacer. Jest tak ci-  
udowny wieczór.

Nieszczęśliwą kobietę odwie-  
ziono do zakładu dla obłąkanych.

**KLEKSY**

**REWOLWER**

Broń przeznaczona do zabija-  
nia ludzi na którą trzeba wykupić  
pozwolenie starostwa. Pozwolenie  
to nie uprawnia jednakże do strze-  
lania do ludzi. Dlatego też korzy-  
stają najwięcej, z tej broni ban-  
dytci, którzy strzelają do ludzi  
nie wykupując natomiast na broń  
pozwolenia.

**BAROMETR**

Jest to instrument, który poka-  
zuje jaka w danej chwili panuje  
pogoda. Jeżeli się jednak wyda-  
rzy, że barometr wskazuje słoń-  
ce, a przez okno widzimy, że  
pada deszcz, nie należy mu wie-  
rzyć.

**SLIZGAWKA**

Posłizgnięcie się na jezdni uli-  
cznej grozi wypadkiem. Aby uni-  
knąć przejechania, urzęda się w  
złazie ślizgawki, czyli specjalne  
teren do ślizgania, gdzie wpuszc-  
za się ludzi za opłatą i zabezpie-  
cza przed jeżdżącymi wehikulami.

**KAWIARNIA**

Jest to miejsce gdzie przy-  
szedłszy samotnie można spędzić  
miałą godzinę w bardzo licz-  
nym gronie, bez obowiązku prowadze-  
nia rozmów.

**DOM**

Jest to miejsce, gdzie spędza  
się długie życie, w bardzo szcu-  
plim gronie, bez chwili samotno-  
ści z obowiązkiem ciągłego prowa-  
dzenia rozmów.

**RADJO**

Jest to instrument, który do zu-  
pny pomidorowej dodaje symfonję  
Czajkowskiego, do potrawy ciele-  
cej z ryżem dodaje Fausta a do  
kompotu ze śliwek, Beethoven.

Gdy wracasz rankiem do domu  
„grany w byrdza, instrument ten  
każe ci się gimnastykować, gdy  
marzysz słodko w fotelu mówi ci  
o wyborach do Sejmu, gdy uci-  
nasz drzemkę po obiedzie urzadza  
ci w pokoju przykryty mecz fo-  
otballowy. Gdy jesteś wesół jak  
czczygiel, wygłasza nową żalobną  
a gdy ponury i bliski samobój-  
stwa wykrapia foxtrotta.

**AUTO**

Wehikul który z Warszawy mo-  
że cię zawieźć do Wyszkowa,  
gdzie możesz w restauracji wypić  
kieliszek wódki.

Z Wyszkowa może cię ten świe-  
tlny polykacz przestrzeni zawieźć  
do Kiele, gdzie możesz w restaur-  
acji wypić... drugi kieliszek wód-  
ki. Z Kiele do Częstochowy, z  
Częstochowy do Zakopanego, z Za-  
kopanego do Gdyni... wszędzie  
można się napić kieliszek wódki.  
Auto to pożyteczna rzecz.

Jur.

**FRANCIS DE CROISSET**

2)

**DAMA z MALAKKI**  
**POWIEŚĆ**

— Znałem ją dobrze.  
— Fabrykę?  
— Nie. Kobieta.  
Sporządłem zdziwiony.  
— Historia tej fabryki, jest historią kobiety, histo-  
rią miłości.

I zaczął swą opowieść, którą tu podaję. Muszę jed-  
nak ostrzec czytelnika, że Udaigora i Rahajong są to  
nazwy zmyślone.

Zmieniłem ramy, zostawiając obraz nietknięty.

**CZĘŚĆ I.**

Andrey Greenwood, nauczycielka angielskiego na  
pensji p. Tramon, spojrzala na zegar, który wskazywał  
czwartą minut dwanaście. A więc dyktował dopiero  
dziesiąt minut, jeszcze pięć i małe uczennice, marszcząc  
dziecinne czoła, zaczęły recytować ustępy z Dickensa  
akcentem, który już przestał ją śmieszyć.

Jakże była zmęczona życiem! Wciąż te same wykłady,  
ciężko to samo od dwóch lat.

Codziennie wychodziła rano z swego mieszkania  
i dążyła tramwajem na drugi koniec Calais do szkoły  
p. p. Tramon. Lekcje zaczynały się o ósmej, zajęcia ko-  
ńczyła o szóstej, gdyż dla zaokrąglenia skromnego bud-  
żetu pełniła oprócz wykładów jeszcze obowiązki opie-  
kunki klasy. Po ukończeniu zajęć, bez względu na po-

**Ceny ogłoszeń:**

za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpal-  
ty (na wszystkich stronach po 6 szpal): na 1-iej stronie — 1 zł.,  
w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr., na ostatniej stronie —  
60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł., lekarskie — 30 gr. Nekrologia po  
30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych” liczy się za oddzielne wyrazy,  
a tłusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznacza się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą  
(Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieczyński.